

TERAZ SOBIE TUPCIE! TUPCIE!

Mieliśmy wolne popołudnie, pojawił się więc problem jak najlepszego spędzenia tego czasu. Niewiele rozrywek było dostępnych naszej studenckiej kieszeni. Postanowiliśmy udać się do kina, nieświadomi, jakie niespodzianki przyniesie nam ta decyzja. Był właśnie piętnasty grudnia 1948 roku. Jadąc tramwajem do kina, które nazywało się „Kapitol” (obecny „Znicz”), widzieliśmy liczne plakaty informujące, że dziś na uroczystym zjeździe ma nastąpić zjednoczenie dwóch partii: PPR i PPS. Ten niewątpliwie fakt historyczny zbytnio nas nie interesował i nie stanowił żadnej przeszkody w możliwie przyjemnym spędzeniu popołudnia. Tanie, dostępne dla nas, bilety do kina kupiliśmy bez trudu. Tłoku przy kasie nie było. Mimo to wewnątrz sali kinowej znajdowało się dużo ludzi, niemal wszystkie miejsca były zajęte. Usiedliśmy na swoich miejscach, które należały do najtańszych. Znajdowały się w czwartym rzędzie od ekranu, pierwsze cztery krzesła od brzegu w pobliżu bocznych drzwi wyjściowych. Przy samym brzegu siedział Witek. Był w Kompanii Akademickiej i nosił odpowiedni mundur, zbliżony do wojskowego, przy nim mój brat Heniek, następnie Andrzej i ja. Wokół nas siedziały same dzieci w wieku szkolnym, które my, studenci pierwszego roku Politechniki Gdańskiej, przerastaliśmy o głowę. Skumał nas brak pieniędzy.

Rozpoczęła się kronika filmowa. Sala dość żywo reagowała na relacjonowane wydarzenia i aktualności. W pewnej chwili dźwięk dochodzący z aparatury kinowej umilkł, nastąpiła zupełna cisza. Na ekranie migały fragmenty jakichś obrazów, a później ukazał się, znany nam już z plakatów ulicznych, obraz pokazujący dwie dłonie w uścisku mającym symbolizować zjednoczenie partii. W zupełnej ciszy sterczał on na ekranie pięć, dziesięć, dwadzieścia sekund, pół minuty i dłużej. Czas jakby stanął w miejscu, mimo upływających sekund, i dłużył się, dłużył... Wreszcie ktoś nie wytrzymał i zaczął tupać nogami. Do niego dołączyli się inni i wkrótce tupali prawie wszyscy. My też. Szczególną aktywność w tym zakresie wykazywała siedząca wokół nas młodzież i dzieci. A obraz, a właściwie plakat propagandowy, wisiał na ekranie i wisiał. Wreszcie znikł i pojawił się dalszy ciąg kroniki filmowej. Na sali zrobiła się cisza, kontrastująca z niedawnym hałasem, a wkrótce rozpoczął się film radziecki „Dzień zwycięskiego kraju”. Miał charakter reportażu z komentarzem na temat osiągnięć, zdobyczy, rozwoju... itd., itd. Do dziś pamiętam obraz niskich zabudowań fabrycznych z wysokim, dymiącym kominem, w otoczeniu bujnej, wiosennej zieleni. Obraz ten zbladł, a następnie znikł w blasku lamp oświetlających niespodziewanie salę. Jednocześnie usłyszeliśmy donośny głos: „Proszę pozostać na swoich miejscach! Proszę nie opuszczać miejsc. Proszę nie wstawać”. Odwróciliśmy się do tyłu i zobaczyliśmy w drzwiach wejściowych, obok łóży, jakiegoś średniego wzrostu mężczyznę w otoczeniu, jak szybko domyśliliśmy się, funkcjonariuszy służby Urzędu Bezpieczeństwa. Wspomniany mężczyzna przez krótką chwilę wydawał im jakieś polecenia. Doszły nas dalsze słowa: „Osoby w łóży pozostać. Pierwsze trzy rzędy wychodzić!” – Ludzie z rzędów przy łóży powstali i skierowano ich ku drzwiom wejściowym. Po chwili to samo musieli zrobić widzowie z następnych trzech rzędów i tak dalej. Później nastąpiła dłuższa przerwa, i znów to samo.



Tymczasem mężczyzna kierujący akcją zbliżył się do pracownika kina, dyżurującego obok szeregu bocznych drzwi wyjściowych. Przez chwilę o czymś rozmawiali, a później pracownik kina pokazał ręką miejsca pod ekranem. Mężczyzna zaczął iść w naszym kierunku. Na ten widok opuściłem się w krzesło jak najniżej, wtuliłem się w nie i skurczyłem, ile mogłem. W takiej pozycji niewiele się różniłem od siedzących obok dzieci. Mężczyzna podszedł do nas i zażądał dowodów. Moi trzej współtowarzysze podali mu jakieś legitymacje, które ten zatrzymał. Mnie natomiast, udającego, że jestem razem z innymi dziećmi, a z nimi nie mam nic wspólnego, nie wylegitymowano. Tymczasem w stosunkowo krótkim czasie całe kino, z wyjątkiem łóży, zostało opróżnione z widzów zajmujących pierwsze miejsca. Przyszła kolej i na miejsca drugie, a więc i na nas. Musieliśmy udać się do poczekalni i czekać. Słyszeliśmy, że w sali kinowej wyświetlano dalszy ciąg filmu, dla widzów siedzących w łóży. Witek w mundurze Kompanii Akademickiej, prezentujący się jak żołnierz czy nawet podchorąży, podszedł do kierującego akcją – coś tam mówił, tłumaczył, i to skutecznie, bo otrzymał swój dowód i odszedł na bok. Pewnie mundur, w jakim był, zrobił korzystne wrażenie. Po chwili zbliżył się do nas i wymieniliśmy kilka słów. Tymczasem nadjechały samochody ciężarowe („budy”), do których musieli wsiadać dalsi amatorzy kina i dokądś ich wywożono. Witek raz jeszcze podszedł do kierującego akcją i próbował coś dla nas zrobić. Skończyło się na tym, że kazali mu wsiąść do odjeżdżającego właśnie samochodu z ludźmi i tyleśmy go widzieli. Czekaliśmy dalej. Nie bardzo wiedzieliśmy, o co tu chodzi, dokąd nas wywożą i co nas czeka.

Wkrótce budy przyjechały i po nas. Kazali nam wsiąść i po chwili jechaliśmy w stronę centrum miasta, chyba już jako ostatni transport widzów pragnących obejrzeć film pod tytułem „Dzień zwycięskiego kraju”. Całą resztę wywieziono już wcześniej, z wyjątkiem oczywiście tych, co siedzieli w łóży. Po parominutowej jeździe wysiedliśmy na dość dużym, otoczonym zabudowaniami i wysokim, murowanym ogrodzeniem, dziedzińcu. Byli tam już inni, wcześniej przywiezieni widzowie kinowi. Zorientowaliśmy się, że jesteśmy na terenie Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa. Jego funkcjonariusze, którzy nas tu przywieźli, gdzieś zniknęli. Byliśmy sami. Ludzie zbierali się w małe grupki i prowadzili ostrożne rozmowy. Nikt się nami nie interesował. Czas się dłużył. Zapadał wczesny grudniowy zmrok, robiło się coraz ciemniej i zimniej. Niektórzy dla rozgrzewki zaczęli szybciej się poruszać i tupać nogami. Wtedy otworzyły się jakieś drzwi, do których prowadziły niskie schodki, ktoś w nich stanął i zawołał donośnym głosem: „Teraz sobie tupcie! Tupcie!” – i zniknął. Znowu czas powoli mijał. Niepewność, głód i zimno sprawiły, że czuliśmy się coraz bardziej podle. Nie wiedzieliśmy, co się stało z Witkiem, którego przecież wcześniej wywieziono z kina, a nigdzie nie było go widać. Wreszcie znowu ktoś się pojawił w drzwiach. Wszyscy umilkli i stanęli w bezruchu. Rozległ się głos: „Członkowie partii, proszę tu przyjść!” – z wszystkich zebranych wyłoniła się mała stosunkowo grupka osób i zniknęła w drzwiach. Po jakimś czasie wezwano kobiety i dzieci, później emerytów i tak dalej. My nie zaliczaliśmy się do żadnej z wywoływanych grup. W dodatku Heńkowi i Andrzejowi zabrano dowody, stali się więc bardziej

podejrzani niż inni. Wreszcie i ja także znalazłem się w drzwiach, za którymi zniknęli wcześniej wywołani. Wprowadzono mnie do dużego, ciemnego pomieszczenia i kazano zbliżyć się do biurka, przy którym siedział jakiś cywil. Drugi siedział, a właściwie półleżał, wspierając się rękami na pobliskim stole. Jeszcze inni kręcili się po pomieszczeniu lub też gdzieś siedzieli. Wyglądali na zmęczonych. Była już późna godzina, coś około dwudziestej trzeciej. Zażądano ode mnie dowodu, a ja podałem indeks politechniki, który moim zdaniem powinien być wzbudzić większy respekt. Była to kilkustronicowa książeczka ze zdjęciami, pieczętami i podpisami. Funkcjonariusz Urzędu nawet z pewnym zainteresowaniem, jak mi się wydawało, oglądał indeks. Był inny od przedstawianych mu dowodów tożsamości. Następnie spojrzał na mnie i zadał pytanie: „Dlaczegoście tupali w kinie?” Odpowiedziałem, że nie tupałem. Nie wiem, dlaczego inni tupali. Ja poszedłem do kina, bo interesował mnie film. Znudzony funkcjonariusz, który już przesłuchał przez kilka godzin wielu innych widzów, ograniczył się tylko do pouczenia: „Następnym razem, jak ktoś będzie tupał, to go w mordę i macie zaraz nas zawezwać” – po czym oddał mi indeks i kazał mnie wypuścić. Idąc pustymi i ciemnymi ulicami miasta wróciłem do domu około północy, pełen niepokoju o Heńka. W kinie zabrali mu przecież legitymację studencką, był więc bardziej podejrzany niż ja. Tymczasem Heniek wrócił kilka minut po mnie. Ucieszyłem się i zdziwiłem jednocześnie: „Wypuścili cię? Nie czepiali się? Oddali ci legitymację?” Odpowiedział:

- Wypuścili, ale legitymacji nie mam.

- Jak to?

- Ano, pokazałem im inny dowód. Powiedziałem, że nie tupałem i wypuścili, ale legitymacja, którą mi zabrali, została u nich.

Ta legitymacja nie dawała nam spokoju. W skrajnych przypuszczeniach mogła być pretekstem do usunięcia z uczelni, na którą przecież niełatwo się było dostać. Zmęczeni i wyczerpani nerwowo, położyliśmy się spać. Rano niewyspani pojechaliśmy na uczelnię, na wykłady. Cały czas zastanawialiśmy się, co ro-

bić, jak postąpić? Wtajemniczeni przez nas bliscy koledzy też nie umieli nam dać dobrej rady. Wreszcie Heniek postanowił sam pojechać do Urzędu Bezpieczeństwa. Przecież, mając jego legitymację, i tak go znajdą. Pojechał. Czekałem na niego w domu pełen niepokoju. Wrócił nawet dość szybko i opowiadał pełen emocji, jak tam było. Najpierw skoczyli do niego z krzykiem: Jak uciekł z dziedzińca Urzędu?! Wyjaśnił, że gdy pokazał inną legitymację, to go sami wypuścili. Później zaczęło się ideologiczne uświadamianie: „To robotnicy i chłopi pozwalają wam studiować...”, później o socjalizmie, sprawiedliwości społecznej itd., itd. i wreszcie: „... a wy co na to? Wy tupiecie!” Heniek słuchał cierpliwie, nie pozwalano mu się tłumaczyć, aż w końcu wtrącił się do monologu funkcjonariusza. Był świeżo po egzaminie konkursowym na politechnikę. Musiał zdawać także z przedmiotu, który wtedy nazywał się „Polska współczesna”. To wszystko, co mu mówił funkcjonariusz, musiał umieć, i to bardzo dobrze. Inaczej by nie zdał na uczelnię egzaminu konkursowego. Więc gdy dorwał się do głosu, to okazało się, że wie więcej od swojego rozmówcy. Ten zamilkł zdumiony. Wreszcie odezwał się: „No dobrze, że nie tupaliście. Ale waszą winą jest to, że jak ktoś inny tupał, to trzeba było dać mu w mordę i nas zawołać. Możecie odejść”.

Nasi pozostali koledzy, z którymi byliśmy wówczas w kinie, Andrzej i Witek, także się znaleźli. Witkowi pomógł mundur Kompanii Akademickiej, a Andrzejowi, podobnie jak Heńkowi, wiadomości z „Polski współczesnej”. Skończyło się więc wszystko na strachu. Pozostała nam tylko w pamięci historia o tym, jak to widzowie – z wyjątkiem siedzących w łoży – niemalże pełnej sali kinowej za sprowokowane niewątpliwie tupanie, do którego doszło, jak się dowiedzieliśmy, także na wcześniejszym seansie, zostali ciężarówkami przewiezieni na dziedzińiec Urzędu Bezpieczeństwa i poddani szykanom. Ciekawe, czy ktoś jeszcze z ówczesnych widzów to pamięta? Czy byli wśród nich ludzie bardziej niż my poszkodowani?

*Tadeusz Witalewski
Absolwent Politechniki Gdańskiej*

Magister (cd.)

ZAGADKA WYKŁADU

Zapamiętałem, Panie, fragmencik z monografii „Charles Dickens”: „Istnieje człowiek wielki, przy którym wszyscy czują się mali, lecz prawdziwie wielkim jest ten, przy którym wszyscy czują się wielkimi”.

Zwykle do tego fragmentu pamięć moja dopisuje zdanie odczytywane wielokrotnie na ścianie ubikacji uczelnianej. Ręka studenta-artysty wypisała kopiowym ołówkiem na białym tle ściany zapowiedź wykładu: „Teatryk Satyryków pod batutą Pana Profesora wystąpi w doskonałej jednoaktówce pod tytułem «Szlifierki»”!

Często zastanawiam się, Panie, jaki poziom prezentuje profesor, czyli „nauczyciel w wyższym zakładzie naukowym”. Mówiąc „poziom”, myślę o stopniu rozumienia rzeczywistości otaczającego nas świata. Może świat pozostanie na zawsze zagadką? A człowiek, choćby najgenialniejszy, siedzący w centrum najnowocześnie wyposażonego laboratorium naukowego, będzie – nie uświadamiając sobie tego – tylko Don Kichotem atakującym wiatraki?



Mgliste, rozmazane, wieloznaczne są cegiełki-pojęcia, z których uformowano tradycyjne tytuły: profesora, doktora nauk, magistra, inżyniera... Zapewne długo będę pamiętał niektórych profesorów. Inni uciekają z pamięci niemal natychmiast po zaliczonym przedmiocie.

Profesor Mały. Dosłownie mały, drobny i stareńki. Raczej profesorek. Wykłada na uczelniach od czasu pierwszej wojny światowej. Nieustannie pokasłuje i zaciera ręce. Zza biurka

wystaje tylko głowa Małego i niewielki fragment tułowia. Odnosi się wrażenie, że na krawędzi biurka sprzątaczką ustawiła ruchome, mówiące popiersie. Od czasu do czasu Mały wstaje i mówi głośnie. Wyjaśnia: „Ciągnik, którego przeznaczeniem jest spychanie ziemi, kamieni, względnie innych sypkich materiałów, należałoby nazywać popychnikiem od słowa popychać. Natomiast błędem jest używanie określenia bulldozer. Prawidłowa nazwa brzmi bulldozer, po angielsku byk. Małych rozmiarów spychacze należałoby nazywać calfdozerami, co znaczy «cie-

lak» w języku angielskim. Natomiast ciągniki wyposażone w urządzenia podnoszące..."

Mały nie korzysta podczas wykładu z modeli ani plansz. Jedyną pomocą naukową jest kreda i otwarty notesik na biurku. Bywa, że wykreśli na tablicy kilka kresiek albo kółeczko.

Inaczej prowadzi zajęcia profesor Lord. Młodszy od Małego. Wykłada konstrukcję maszyn budowlanych. Na początku semestru wyjaśnia, że jego specjalnością są „kwestie maszyn poruszających się w ośrodkach ciekłych i gazowych”. Z maszynami budowlanymi związała Lorda „niepomysłna rzeczywistość”. Nie lubi tych „machin”. Nie lubi też „durnych studentów, którzy miewają zwykle dodatkowe wątpliwości i przez zadawanie pytań usiłują ukryć wrodzone lenistwo i brak przygotowania do samodzielnej pracy”.

Lord ma we krwi coś z arystokraty. Z głośnym trzaskiem rzuca na blat biurka wielką sznurowaną teczkę. Hukotrząsk te czki stanowi jednocześnie sygnał zapowiadający początek wykładu. Następnie sprawdza czystość najbliższych przedmiotów. Przesuwa wskazujący palec lewej ręki po blacie biurka, poręczach fotela i półce tablicy.

Kiedy asystent rozwiesi już odpowiednie dla danego wykładu tabele, Lord trzymając lewą rękę w kieszeni, prawą wskazuje pionowe i poziome kolumnienki cyfr, wyjaśnia co do czego należy i w jakich przypadkach może być użyte. Po ogólnym objaśnieniu trzech, czterech tabel studenci przystępują do ich przerysowywania. Lord w tym czasie zapala cygarko, staje przy oknie i spogląda na wędrujące wysoko obłoki, jakby wypatrywał maszyn poruszających się w ośrodku gazowym.

Po kilku minutach odwraca się do sali z pytaniem: Gotowe? Zawsze słyszy tę samą chóralną odpowiedź: – Jeszcze nie, panie profesorze! Po trzech pytaniach – powtórzonych w odstępach kilkuminutowych – Lord objaśnia następne tabele. Podczas gdy studenci przerysowują zawile wykresy, Lord wychodzi na korytarz. Gdy przyłapie przechodzącego przypadkowo kolegę, wówczas opowie mu kawał, z którego sam się serdecznie uśmieje. Zagląda też do sekretariatu, by pożartować nieco z panną Adelą. Wracając już od drzwi pyta: Gotowe? Lecz niezależnie od czasu, jaki spędził w sekretariacie, słyszy ten sam ryk sali: – Jeszcze nie, panie profesorze!

W dni deszczowe Lord, stając przy oknie, spogląda w ziemię. Pewnie, patrząc na wielkie kałuże, myśli o maszynach poruszających się w ośrodkach ciekłych.

Po przerysowaniu kilku wykresów student Muziak dla pewności pytał, czy wykresy należy znać na pamięć. Po usłyszeniu pytania Lord odrywał na chwilę wzrok od obłoczków, wyjmował z ust cygario i – patrząc melancholijnie w kierunku Muziaka – opowiadał zwykle o pewnym studencie, który wpadł na genialny pomysł: skoro istnieje pierwsza liczba ciągu „jeden”, musi również istnieć ostatnia. – Ów genialny student jeszcze liczy, moi panowie! – kończył anegdotkę.

Jakich stopni naukowych, jakich tytułów potrzeba, by dojść do granicy prawdy świata? Może taka granica w ogóle nie istnieje, jest tylko horyzontem, złudzeniem?

*Edward Kaczmarek
Absolwent Politechniki Gdańskiej*

- Każdy chce czy nie chce

wyjechać musi
bo w mieście się dusi
- I każdy to wie, że uczelnia nasza
wszystkich chętnych
do Czarliny zaprasza
- Na łonie natury
nawet ten gruboskóry
mieć będzie łżej, gdy na leżaku
wyleży się.
Gdy pochodzi wkoło domku
by potem zejść po schodach niżej
a tam już blisko do wody!
A i obozowisko może być
gdy dzieci nabiorą do tego ochoty!
- Na jeziorze jak tafla
gdy wicherek za wyspami
lub przy fali wielkiej
gdy burzy się woda
można pływać do woli, gdy
mama i tata na to pozwoli.
Dzieci tu i tam wkoło
bo tu musi być zawsze wesoło
bo po to wszystka brać się zjeżdża
by wszystkim nerwy powypięrać.
- Czasem spotkania wieczorne
kielbaski z rusztu przewyborne.
- przy ognisku
- wszystko tu ma inny smak,
bo powiew wietrzyku znad
Tatr, czasem poślizga się
na jeziorze i wskoczy

miedzy nasze domki
o jak miło mój Boże!
- Rankiem po wielkiej zabawie
mama i tata przy kawie
a dzieci spią
lub te starsze
wędrują do świetlicy
by pograć, pośmiać się
film obejrzeć
bo już do wieczora niedługo.
Oto już postara się pan
kierownik, aby było przy
zachodzie wesoło i spokojnie
- i aby każdy, gdy sobie
to w ciągu roku wymarzył
mógł do domu przyjechać wypoczęty.
- No czasem w niebo wzięty
bo koszyk malin, borówek
jeżyn i jagód nabierał.
O zapomniałabym o grzybkach
w słoikach i na sznurkach.
- Zamiast koralii można
w sylwestra w auli Politechniki
na balu przypiąć do peniuaru
- I tak minął rok 1999
by przywitać nowy 2000.
Wiwat, wiwat, wiwat
wszystkie stany
w lecie w lesie
a potem na balu 2000/2001 roku
się spotkamy

*Iwona Zysnarska
Były pracownik PG*

Nasza wyprawa do Peru

Latem roku 2000 wzięliśmy udział w wyprawie do Peru i Boliwii. Nasza grupa składała się z sześciu osób – studentów Politechniki Gdańskiej i innych trójmiejskich uczelni, w tym dwójga członków Koła Naukowego Języka Hiszpańskiego PG. Poniżej prezentujemy wrażenia z tej podróży.

W ogrodzie na dachu hoteliku España w centrum Limy właśnie zakwitły pierwsze kwiaty, powoli odpływa zimowa mgła znad wybrzeża. Jest koniec września, tu na południowej półkuli zaczyna się wiosna. Leniwy spokój hotelowego ogródka mocno kontrastuje z nastrojem ogarniającym limeńskie ulice dwa piętra niżej. „Precz z dyktaturą” – protestują mieszkańcy miasta, gromadząc się niemal codziennie na głównym placu, nazwanym zresztą Placem Broni. Blokady na głównych drogach w kraju, od kilku dni strajk narodowy „por la democracia”. Peruwiańska wiosna nadchodzi. Ale my spakowaliśmy już plecaki i czekamy na powrotny samolot do Polski. Za nami dwa miesiące i pięć tysięcy kilometrów w Ameryce Południowej.

Ticlio leży prawie tak wysoko jak Mont Blanc i jest malutką peruwiańską miejscowością górską. Jest też najwyżej na świecie położoną pasażerską stacją kolejową. Linie łączącą Limę z



Ruiny Inków w pobliżu miasta Cuzco

Huancayo zaprojektował w XIX w. polski inżynier Ernesto Malinowski. Nie wszyscy dobrze znoszą szybki wjazd nad morza na wysokość 4800 m n.p.m., dlatego w wagonach kolejki można było znaleźć butle z tlenem. Podobno im bliżej końcowego przystanku, tym weselej przygrywały indiańskie kapelle, licząc na hojność pasażerów dojeżdżających do celu podróży. Nam nie udało się tego przeżyć – na dwa tygodnie przed naszym przybyciem do Peru rozpoczęła się prywatyzacja kolei, na razie jej efektem jest jedynie to, że pociągi przestały kursować. W Ameryce Południowej nie należy się dziwić niczem. Trasę Malinowskiego pokonujemy autobusem, w Ticio miga nam z oddali pomnik naszego rodaka.

Większość turystów tutaj sądzi, że z Limy do Cuzco, dawnej stolicy Inków, można się dostać jedynie samolotem. Wiadomo: fatalne górskie drogi, teren opanowany jeszcze do niedawna przez partyzantkę Świetlistego Szlaku, no i cztery dni w niewygodnych, starych autobusach. Nam ten przejazd wydłużył się jeszcze bardziej, ale kto mógł wiedzieć, że trafimy na doroczną fiestę św. Rocha w małej andyjskiej wiosce. „Bienvenidos en nuestra casa” witają nas na patio swego domu Alejandro i Elsa Molina, gospodarze jednej z wielu imprez tygodniowych obchodów. Polskie imiona sprawiają im sporo trudu, więc wołają „Polonia” na całą naszą piątkę. Wciąż przybywają nowi goście,

jest i orkiestra. Krzysiek najlepiej zna hiszpański, więc zawiera kolejne znajomości. Tutaj każda z nich musi być przypieczetowana łykiem chichy – lokalnego piwa ze sfermentowanej kukurydzy. Jola z Tomkiem tańczą wewnątrz koła dziarsko podrygujących indiańskich staruszek. Agnieszka przymierza właśnie strój jednej z nich, a Łukasz z Szymonem odważnie zajądają główne danie, tradycyjną potrawę mieszkańców tego rejonu Andów, czyli odpowiednio przyrządzoną świnkę morską. Chicha leje się dalej, zabawa się rozkręca... Po dwóch dniach opuszczamy San Jeronimo, a jego mieszkańcy będą bawić się jeszcze prawie tydzień.

„Na wątrobę, bóle stawów – sok z żaby” – zachwala peruwianka na targu, po czym nalewa wszystkim po kubeczku mętnego płynu. Obok, w misce dla zachęty pławią się grube ropuchy, jeszcze żywe. „Na dobrą pamięć też” – dodaje sprzedawczyni, widząc chyba nasz brak entuzjazmu dla jej wspaniałego eliksiru.

Nieco później, w Boliwii, na targu czarownic w La Paz oglądamy towary, przy których sok z żaby wydaje się całkiem zwyczajnym pomysłem. Można tu kupić kadzidła z zaklęciami dla zakochanych i dla biznesmenów. Zasuszony płód lamy należy spalić w kącie nowego domu, na szczęście. Zdrowie, miłość i pieniądze przyniesie ci mała buteleczka wypchana kolorowymi szmatkami. Najlepiej kupić tę dużą za 3 boliviano. Po długim targowaniu cena spada dwa razy i stajemy się posiadaczami potężnego amuletu; może przyniesie nam szczęście w dalszej podróży?

Tuż za niewielką osadą Uyuni, która przez ostre słońce, dziwnie szerokie ulice i wrażenie wyludnienia kojarzy nam się z Dzikim Zachodem, rozpościera się Salar de Uyuni – kiedyś wielkie słone jezioro, dziś biała pustynia. Mknąc jeepem po płaskiej jak stół i ciągnącej się po horyzont tafli soli, czujemy się jak na innej planecie. Wrażenie niezmierności sięga zenitu, gdy docieramy do „Isla de Pescadores” – wyrastającej nagle z morza soli skalnej wyspy, porośniętej ogromnymi kaktusami. Zauroczeni krajobrazem postanawiamy rozbić namioty na pokrytej regularnymi, sześciokątnymi wzorami, soli. Nic z tego –



Twierdze Inków w dolinie rzeki Urubamba



Kopalnia soli w Salinas

wałąc łomem w sól nasz kierowca przekonuje nas o twardości podłoża. Schronienie znajdujemy dopiero na brzegu salaru, w przestronnej, niegdyś zapewne podwodnej grocie. Jeszcze przed zmrokiem odwiedza nas zaciekawione stadko lam z uszami przyozdobionymi czerwonymi frędzlami. Nie są to jedyne zwierzęta, jakie spotykamy na odludnym południu Boliwii. Drogę przebiegają nam płochliwe, przypominające gazy wiewiórki, widzimy też podobne do królików wiskacze. Jednak największe wrażenie robią na nas flamingi. Zamieszkują one niewielkie jeziora, których skład chemiczny zdaje się nie sprzyjać żywym istotom, za to nadaje wodzie rozmaite kolory. Barwę jeziora można czasem odgadnąć z jego nazwy: Laguna Verde, Blanca, Colorado – to kilka z nich. Widok flamingów spacerujących w bliskiej zamarznięciu wodzie na wysokości prawie 5000 m n.p.m. pozwala przestać kojarzyć te ptaki z tropikami.

Pieniądze samorządu

Co można zrobić lepszego w sobotnie popołudnie 24 lutego niż odpoczywać po całym tygodniu spędzonym nad książkami? Delegaci Nadzwyczajnego Zjazdu Parlamentu Studentów PG postanowili ten dzień spędzić w inny sposób.

Obradowali w Sali Senatu PG. Spotkanie to miało bardzo wysoką rangę, ponieważ jednym z najważniejszych punktów debat było zatwierdzenie prowizorium budżetowego SSPG na rok 2001. A jak wiadomo, tam gdzie pieniądze, tam zdarzają się „zadrażnienia”. Nie zabrakło ich także tutaj. Do podziału była kwota niebanalna: 150 000 zł! Jeżeli wszystko zostanie dobrze zaopiniowane na marcowym zebraniu Senatu PG, to właśnie tym funduszem będzie zarządzał SSPG w tym roku. Pieniądze te zasilą kasy WRS-ów, pójdą m.in. na działalność organizacji studenckich, na imprezy itp. Jeśli SSPG otrzyma kwotę większą (lub mniejszą), to odpowiednio rozłoży się ona wg rozrachunku początkowego. Martwić się mogą jedynie organizacje, które nie rozliczyły się z samorządem z odpowiednich dokumentów za rok ubiegły. Otóż one nie dostaną w tym roku dotacji. Taką właśnie uchwałę podjął Parlament. „Sam jako jedyny głosowałem przeciwko tej uchwałie” – komentuje Paweł Nadolny, przewodniczący Prezydium Zjazdu – „ponieważ uważam, że tego rodzaju sprawy powinny być rozważane osobno. Niektóre organizacje robią dużo udanych imprez i czasami nie zdążą wszystkiego załatwić w świetle prawa”.

Piosenkę „A las orillas del Titicaca”, czyli „Nad brzegami Titicaca”, poznaliśmy na lekcji hiszpańskiego u Pani mgr Ewy Jurkiewicz na Politechnice kilka miesięcy wcześniej. Przyjemnie jest zaśpiewać ją, spacerując wybrzeżem tego ogromnego jeziora. Wokół wszystko jak w piosence: fale zalewają piaski Isla del Sol, w oddali ośnieżone boliwijskie szczyty. Wieczór powoli staje się nocą, gdzieś tam za górami zasypia La Paz w ciasnej kotlinie, w Dolinie Mantaro kończy się kolejna fiesta, limeńczycy zbierają swoje flagi z Plaza de Armas. Jeszcze dalej w słonych jeziorach długonogie flamingi zasypiają stojąc, tak samo jak majestatyczne wulkany dookoła. W Potosi wracają górnicy z kopalni, w której już dawno nie ma srebra, mały Anderson wraca do swojej chaty z wyschniętego błota nad rzeką Urubamba, a turyści wracają z Machu Picchu do luksusowych, kolonialnych hoteli w Cuzco. Pod księżycem zasypiają Andy. W peruwiańskiej dżungli szaman-curandero przygotowuje napar z tajemniczej rośliny ayahuaski, który w nocy przeniesie go w inne światy. A my, już w samolocie, lecimy z powrotem do Polski i wspominamy, wspominamy.

Lukasz Wroczyński

*Student Wydziału Elektroniki, Telekomunikacji i Informatyki
Agnieszka Wroczyńska, studentka Akademii Medycznej
(Wszystkie zdjęcia autorów)*



Na lodowcu w boliwijskich Andach

Samorząd poza tym wprowadził poprawki do „Regulaminu przyznawania pomocy materialnej studentom PG”. Osoby, które dotychczas do podania o stypendium socjalne dorzucały zaświadczenie o zarobkach rodziców wydawane przez zakłady pracy, będą zobowiązane, na polecenie Komisji Stypendialnej, do okazania dokumentu dodatkowego. Może to być PIT za cały rok. Komisja nie zawsze musi prosić o ten papierek, może porównać złożone dokumenty z tymi, które towarzyszyły podaniu o akademik. Ci, którym się wiodło dobrze, lecz z jakiegoś powodu ich sytuacja materialna nagle się pogorszyła, zawsze – mimo wysokiego dochodu na rozliczeniu PIT – mogą wystąpić o jednorazową zapomogę losową.

Kilku szczęśliwców obsadziło także „wolne posadki”. Samorząd m.in. wybrał nowego członka Senatu PG i uzupełnił skład Komisji Rewizyjnej, która to kontroluje działania SSPG (także jego rachunki i wydatki!).

Na koniec roku akademickiego będzie można ocenić, czy nasi koledzy zainwestowali pieniądze w ciekawe przedsięwzięcia i imprezy. Tymczasem pozostaje nam czekać na majowe rozrywki...

Tomasz Klajbor

Student Wydziału Elektroniki, Telekomunikacji i Informatyki